



ŚWIATŁO UPADŁYCH

Mam wrażenie, że kości pękają mi z zimna. Ból stawów jest paraliżujący, ale ciało idzie dalej, wiedzione świadomością, że ruch to ciepło, a ciepło jest teraz potrzebne bardziej niż woda.

Już jedenasty tydzień jesteśmy w tej zapomnianej przez Boga głuszy. Jedenasty!

Pan Ashway w dupie ma zimno, a przynajmniej tak mi się wydaje. Jest zdecydowanie najlżej ubrany, nigdy się nie skarży, nigdy nie narzeka. Za to je za trzech. Może to jego sekret? Ja nie mam siły jeść.

Pan Ashway się nie męczy. Wspina się z czekanem w rękę, choć ma najmniej doświadczenia w takich warunkach.

Początkowo nie chcieliśmy, żeby prowadził nas żółtodziób, ale się poddaliśmy. Nie mieliśmy wyboru. Pan Ashway zawsze trafia tam, gdzie powinien i nigdy się nie waha. Jakby wychował się w tych regionach. Czasem wydaje mi się, że wszyscy myślą, że to możliwe.

– Czy na pewno tam są naziści? – pytam go. – Kto chciałby ukrywać się w tym zamrażniętym piekle?

– Jeśli ktokolwiek, to właśnie naziści – odpowiada.

Początkowo było nas czterdziestu, ale piątka została w obozie. Potem siódemka zdecydowała się wrócić do tamtych. Kolejna czwórka odpadła ze ściany. A my? My szliśmy dalej.

Dlaczego?

Może byliśmy pod wpływem uroku pana Ashwaya? Nie mam pojęcia, ale wiem, że gdyby nie on, już dawno bym umarł. Nie dałbym rady wrócić sam, ale skoro on idzie do przodu, to ja też mogę. Skoro on wierzy, że wrócimy, to wierzę, że wrócę razem z nim.

Tak, wrócę razem z nim.

– To tutaj! – krzyczy. Trzyma się czekana wbitego w lód i ręką wskazuje szczyt.

Początkowo wydaje mi się, że się przesłyszałem, ponieważ oprócz gwizdu wiatru, mgły i lodu nic tu nie ma.

– Słucham?

– To tutaj, panowie! – Jego głos niesie się echem i jest echem.

Wisimy przez moment jak sparaliżowani. Czuję, jak chłód wgryza się w moje ciało, moją skórę, moje kości. Rozglądam się gorączkowo, ale nie widzę niczego. Inni też nie widzą, ale nawet jeśli coś gdzieś jest, to wołałbym patrzeć na to, stojąc na czymś stabilnym. Zerkam w dół, na starego Maileya. Przeżyłem z nim niejedną wyprawę, ale jeszcze nigdy nie wyglądał jak teraz. Jak wrak człowieka.

Kiedy znaleziono tajne akta Himmlera dotyczące jego badań genetycznych, teorii o sumeryjskim pochodzeniu Niemców, ich pokrewieństwie z Tybetańczykami oraz – oczywiście – map Atlantydy, dostały się one w ręce brytyjskiego wywiadu. Wśród setek dokumentów można było znaleźć informacje o „drzwiach do dawnej Atlantydy” na Antarktydzie oraz plany wysłania tam wyprawy eksploracyjnej, z odręcznymi notatkami Himmlera wspominającymi o bazie. Oczywiście trafiły do tajnych archiwów. Czyli do nieoficjalnej przegródki oznaczonej „nikogo to nie obchodzi, ale lepiej na wszelki

wypadek tego nie niszczyć, a już na pewno nie publikować”. Pewnego dnia ktoś postanowił, z jakiegoś dziwnego powodu, odkopać te szpargały i wręczyć je królowej.

Ta spojrzała na nie i powiedziała „ciekawe”, no więc wtedy wysłano nas. Pan Ashway jako agent MI6 zgłosił się na ochotnika, bo twierdził, że lubi śnieg, a my zostaliśmy zwerbowani jako doświadczeni polarnicy. Niemniej podczas całej swojej kariery nigdy nie widziałem nikogo, kto lubiłby śnieg tak bardzo, jak pan Ashway.

– Tutaj, czyli gdzie? – pytam, czując, jak dreszcze przebiegają mi po plecach.

– Ten monolit!

– Można się tam dostać inaczej, niż wisząc na ścianie?

– Tak! Za mną!

Czasami w niego nie wierzę. Wtedy wydaje mi się tak głupi, jakby był zbyt mało inteligentny, żeby pojąć swoją głupotę. Choć równie często mam wrażenie, że jest diabelnie mądry, a głupotą stara się to ukryć.

Pnie się w górę jak maszyna, jak lokomotywa, która nigdy nie ma dosyć. Nie widać po nim zmęczenia, tylko siłę i motywację. Czuję, jakby moje mięśnie odchodziły od kości, ale pnę się za nim, bo tylko to ma sens.

– Pan Ashway mówi, że coś ma! – krzyczę w dół.

Słyszę, że Mailey powtarza to tym z dołu. Słyszysz to też Pennington, prowadzący drugą nitkę. Z nim też byłem kiedyś na wyprawie i choć wtedy nie przypadł mi do gustu, teraz się zrehabilitował. Jest twardy, silny, zdeterminowany. Nie tak bardzo, jak pan Ashway, ale na pewno twardszy ode mnie.

Może jestem już po prostu za stary na takie wypadki?

Obiecałem Jane, że to ostatnia misja, póki jeszcze mam dokąd wrócić i póki jeszcze jakoś wracam. Wtedy nie byłem jeszcze pewien, czy to na pewno ostatnia, ale teraz już jestem. Nie chcę już nigdy wrócić na śniegi, nie chcę już nawet

mieszkać w Anglii. Chcę przenieść się gdzieś do kolonii. Może Nowa Zelandia, może Zanzibar, Rodezja albo Związek Południowej Afryki? Jane strasznie kocha swoją matkę, ale kto wie, może i ją namówimy, żeby pojechała z nami? Albo zostanie. Albo umrze.

– Panowie! – krzyczy pan Ashway. – Wciągam was!

Cholera, on już jest na górze? Jak to w ogóle możliwe?!

Mam wrażenie, że każdy ruch ręką wybija mi bark ze stawu, każdy ruch nogą łamie mi biodro. Jakim cudem on ma w sobie tyle motywacji, energii i siły?

– Gratuluję, milordzie – zwraca się do mnie z przekorą i podaje mi rękę, kiedy jestem na górze.

W przeciwieństwie do niego nie mam szlacheckiego pochodzenia, ale on pluje na arystokrację i szlachectwo. Tak mówi.

Wciąga mnie na górę, a ja staram się mu pomóc wciągać Maileya.

– Dam radę! – Odtrąca mnie. – Pomóż Penningtonowi!

Kiwam tylko głową, choć pod kapturem i w śnieżycy nie może tego widzieć.

– Pennington! – krzyczę. – Dajecie radę?

– Dajemy, dajemy! Zaraz będziemy na górze! – Uśmiecha się do mnie. – Ledwo jesteś przede mną, już się tak nie...

Lodowa ściana pęka pod jego czekaniem. Jego uśmiech błyskawicznie blednie i znika. Jego oczy zwężają się i jakby zamierają. Wielki okruch odrywa się od ściany, a wraz z nim ośmiu polarników.

Widzę, jak znikają Parkes, Taylor, Spencer i Tone, a na końcu – jako ostatni, z ręką wyciągniętą w panice ku mnie, jakbym mógł cokolwiek zrobić! – Pennington.

Ich krzyki odbijają się echem od ściany.

– Mailey! Trzymaj ich! – wrzeszczy Ashway. – Dawaj! Dawaj! Trzymaj ich! – krzyczy do mnie.

Nogi Maileya wiszą i dyndają wisielczo, ale on sam jedną ręką trzyma pana Ashwaya, a drugą czekan wbity w lód.

– Rozerwą mnie! – sapie. – Rozerwą!

Podbiegam i kładę się na brzuchu. Zapominam o zimnie, bólu i pękających mięśniach. Łapię za linę obwiązującą go w pasie. Cała piątka wisi teraz na dole i wszyscy utrzymują się tylko na Maileyu, panu Ashwayu i mnie.

– Znaleźliście ścianę, chłopaki?! – krzyczy w otchłań pan Ashway.

Nie jestem w stanie nic powiedzieć. Zmęczenie... Nie, agonalne zmordowanie pozwala mi na nie więcej niż jedną rzecz na raz. A tą jedną rzeczą jest trzymanie Maileya.

– Pękne, pękam! – sapie mi Mailey do ucha.

– Trzymaj się, milordzie! Trzymaj! Na twoich barkach, jak na barkach giganta, trzyma się teraz cała korona Anglii, nasza duma i braterstwo. Nasza siła. Tylko ty, Mailey, możesz to brzemie unieść! Trzymaj się! Jesteś twardszy niż my wszyscy! – krzyczy mu do ucha pan Ashway.

Też i ja trzymam tego giganta. Trzymam linę obwiązaną wokół jego pasa i za cholerę nie mam pojęcia, czy mu pomagam, czy nie, ale wiem, że się staram.

– Mamy ścianę! – krzyczy ktoś z dołu. – Mamy ścianę!

Luzujemy Maileya i powoli go opuszczamy. Zsuwa się dwie stopy w dół i zawisa.

– Chyba umieram... – sapie. – Chyba umieram!

– Mamy rannego, panowie! – krzyczy pan Ashway. – Nie chcę was popędzać!

Po około minucie wciągamy Maileya i go odwiązujemy.

– Pomóż mi! – szepcze pan Ashway. Kładzie go na zimno.

Mailey jest siny i ma martwy wzrok. Rozbieramy go.

– Jasna cholera! – wypada ze mnie.

Sznur przedarł się przez skórę i mięśnie, widzę okrwawione jelita. Przetawiona miednica, prawdopodobnie pęknięta. Złamany kręgosłup.

Czuć, że jeszcze dycha.

– Mailey! – mówi pan Ashway.

– Nie wyjdę z tego, panie Ashway. Nie wyjdę, nie czuję nóg – szepcze Mailey w tym cholernym zimnie. Ma sine usta, a wzrok błędny. Patrzy w niebo pełne chmur, a śnieżynki na jego twarzy rozpuszczają się coraz wolniej.

– Jesteś bohaterem! – mówi pan Ashway. – Uratowałeś chłopaków. Jesteś bohaterem!

– Nie jestem bohaterem, panie Ashway. Bałem się... Bałem się przez cały czas.

– Nie, Mailey, właśnie ty jesteś bohaterem.

Mailey się uśmiecha. Ten grymas zastyga mu na twarzy, z każdą sekundą nabiera większej grozy.

– Nie żyje? – pyta Adams, wchodząc na klif.

– Wielki człowiek odszedł – mówi pan Ashway.

Wszyscy tu umrzymy. Wszyscy jesteśmy wielkimi ludźmi, którzy zostawią tu swoje ciała. W tym trupim zimnie. W tym lodowym więzieniu.

– To dziewięć – mówię. – Dziewięć osób dzisiaj zmarło.

– Nie mów hop – odzywa się Adams – chłopaki jeszcze nie weszli, a i słońce ma kawałek do zachodu.

Przeszedł mnie dreszcz. Czy z zimna? Na pewno. Czy to ze zgrozy? Prawdopodobnie. Trochę okropny żart. Szczególnie podczas dnia polarnego. Do zachodu zostały ze dwa miesiące.

Po Adamsie, już spokojnie, weszli Lawrence i Hall. Trzecia nitka też dostała się na górę bez problemów. Zostało nas piętnastu.

Piętnaście osób z czterdziestu. Dobra, piątka jest w obozie, kolejnych siedmiu też. Chyba.

Czy naziści mogli dotrzeć tak daleko? Jaki jest tego cel?

Chociaż... Jakie to ma znaczenie? Idę tu za pieniądze. Cholera jasna, gdyby ktoś zapłacił mi za spacer, tak po prostu, też bym poszedł!

Szlag! Sprzedałem swoje życie za funty.

– Mailey zmarł. Wielki człowiek poświęcił swoje życie dla dobra tej wyprawy! – krzyczał pan Ashway. – Wiem,

że to była ciężka podróż, ale pamiętajcie! Jesteśmy już prawie na miejscu, spójrzcie! – Pokazuje palcem w głąb płaskowyżu, na którym się znajdujemy. Początkowo nic nie widzę, tak jak wcześniej, kiedy patrzyłem w tym kierunku, czekając na resztę, ale nagle ujrzałem.

Śnieg przestał padać, a chmury rozwiały się jak za dotknięciem magicznej różdżki, palca pana Ashwaya.

Na końcu płaskowyżu stoi pojedyncza igła, iglica, pionowa linia wetknięta w lód.

– Idziemy, w imię jej królewskiej mości! Takie zbrodnie jak podczas wojny... nie mogą się powtórzyć! Pamiętajcie! Idziemy tam dla dobra świata, tylko my możemy go uratować!

O dziwo przemowa pana Ashwaya mnie nie ruszyła. Nikogo nie ruszyła. Dziewięciu zmarłych to bardzo dużo. Nawet dla królowej. Jeśli ta baza nazistów faktycznie istnieje, a jej nie widzę, to co tam może być? Hitler? Jeżeli by tam był, bo chyba nikt nie wierzy w te bajki o samobójstwie, to co tam robi?

Lepiej dać się zabić, niż być tutaj.

– Odpocznijmy dzisiaj, rozbijmy tu obóz. Jutro pójdziemy zbadać to miejsce. Pamiętajcie! Dzieli nas zaledwie parę mil prostej drogi! Już nic nikomu się nie stanie.

Choć te słowa wydawały się logiczne, to kiedy wybrzmiały, odniosłem odwrotne wrażenie.

Jakby nikt z nas miał z tego nie wyjść.

Rozbiliśmy trzy namioty. Mieliśmy spać po pięciu. Po pierwsze żeby zaoszczędzić ciepło. Po drugie... cóż, zostały trzy namioty.

Ugotowaliśmy zupę, jak zwykle. Mam już dość zupy, ale wiem, że ratuje nam ona życia. Marzę, by być w miejscu, w którym nie pada śnieg i w którym już nigdy nie będę musiał jeść zupy. Teraz jej potrzebuję, a nie chcę jej już nigdy potrzebować.

Tej nocy śni mi się Jane. Patrzy mi w oczy. Widzę jej wielkie, błękitne tęczęwki, jak szafiry zatopione w mleku. Uśmiecha się delikatnie, prawie niezauważalnie. Uśmiecha się

i przygryza wargę, zbliża się i mnie całuje. Całuje namiętnie w usta. Czuję jej miękkie wargi. Czuję jej miękki język. Czuję jej ciepło, jakby było prawdziwe. Czuję jej palce i ich dotyk, gdy gładzi mnie i muska.

– Kocham cię – mówi. – Wróć do mnie, póki możesz.

Jej ciepło jest najcudowniejsze. W tym śnie pierwszy raz od tygodni nie jest mi zimno. Zapominam o zimnie, o nazistach i Ashwayu. O Antarktydzie i Atlantydzie, o całym bożym świecie.

– Wróć do mnie – szepcze.

– Nie mogę.

– Szkoda. Szkoda, że nigdy do mnie nie wrócisz – mówi, patrząc na mnie smutnymi oczyma.

– Wróć, obiecuję. Wróć! – krzyczę. – Obiecuję!

Płaczę.

– Pojedziemy razem na Zanzibar albo gdzieś tam. Zamieszkamy w cieple.

Szlocha.

– Obiecuję! Kochanie! Wróć!

– Nie, nie wrócisz. Jeśli nie wrócisz dziś, nie wrócisz wcale... Ale wiesz co? To nie znaczy, że musimy być smutni. Możemy przecież cieszyć się sobą. Pożegnania nie muszą być smutne, prawda? Nie muszą! – Widzę jej uśmiech spod baldachimu też. – Nie muszą, prawda?

– Wróć! Obiecuję!

– Cicho, kochanie, już nie walcz. Kochaj mnie tylko!

Przytula mnie, a ja znów czuję to ciepło. Ciepło, a nawet gorąco. Jakbym płonął żywcem, ale nie jest to nic nieprzyjemnego.

Jest w samym gorsecie. Pcha mnie na łóżko i obejmuje moje nadgarstki palcami. Patrzy mi w oczy i widzę w nich coś dziwnego, innego. Uśmiecha się, przejeżdża językiem po zębach, a ja mam wrażenie, że... jej kły są dłuższe niż zwykle?

Dłuższe niż kły zwykłego człowieka.

Prostuje się nade mną, unosi. Staje kolanami na moich

ramionach, unieruchamia mnie. Obraca się i siada mi na twarzy, pochylając się.

Zaczynam ją pieścić oraz całować. Po chwili czuję, że Jane, moja ukochana Jane, odpowiada mi tym samym.

Jest mi wreszcie ciepło, wręcz gorąco. Nieistotne, koniec zimna, to się liczy.

Słyszę, jak pomimo zatkanych ust moja ukochana sapie coraz głośniej, jak jej sapanie przechodzi w cichy jęk.

Nawet nie zauważam, kiedy i ja zaczynam pojękiwać.

Czuje, że z każdym ruchem mojego języka jest coraz bardziej wilgotna, aż w końcu słyszę jej urywany jęk. W tym momencie przez moje ciało przebiegają fale rozkoszy.

Po chwili rozluźniam się i wtedy nad pośladkami mojej Jane widzę moją Jane.

Stoi obok jak gdyby nigdy nic i się uśmiecha. Z jej ust wystają kły, a oczy świecą się pomarańczowym blaskiem, jakby w szklanych kulach płonął ogień.

Nie wiem, kto siedzi mi na twarzy, ale widzę gadzi ogon wyrastający nad pośladkami.

Budzę się.

Biel Antarktydy mnie oślepia. W namiocie jestem już tylko ja. Wszyscy wyszli.

Dziwny sen. Choć przyjemny, pozostawił w mojej duszy wiele niepokoju. Tak, tęskniłem za narzeczoną, ale co oznaczały rogi, ogon i kły?! Co może oznaczać ta mara siedząca mi na piersi?

Czy powinienem się martwić? Czy naprawdę nie wrócę do domu? Co powinienem zrobić? Uciec, gnany intuicją? Czy dałbym radę?

Patrzę na słoneczną, piękną pogodę. Wręcz idealną. Oczywiście – jest chłodno, ale bezchmurne niebo napawa optymizmem. Pomimo to nadal nie mogę zrozumieć, czym był ten sen.

Siadam obok innych i dostaję miskę odgrzanej zupy.

– Gdzie Floyd? – pyta nagle pan Ashway pełnym niepokoju głosem. – Nie widziałem go dzisiaj.

– Ja też nie. – Adams wstaje i się rozgląda.

Rzeczywiście, jest nas czternastu. Wzruszam ramionami. Jestem zbyt zmęczony, żeby orientować się w sytuacji, ale po chwili dostrzegam wzburzenie wśród towarzyszy.

Zaczynam się martwić.

Co tu się dzieje?

– Co tu się dzieje? – pyta Adams, powtarzając pytanie, które zadałem sobie w myślach.

– Z kim spał? – Pan Ashway przejmuje inicjatywę. – W którym namiocie?

Czy Floyd spał ze mną? Nie mam zielonego pojęcia. Ze mną spał Adams... Hall, Lawrence i Marrow. Chyba nie.

– Ja spałem z Adamsem, Hallem, Lawrence'em i Marrowem – odpowiadam, wstając.

Wszyscy na mnie patrzą. Każdy robi rachunek sumienia i nagle widzę, że Adams marszczy czoło.

– Ja nie spałem z tobą ani Lawrence'em. Spałem z Marrowem, Hallem, Fergusonem i Ashwayem.

Co?!

– Nie, to niemożliwe. – Hall odkłada miskę. – Spałem z Burgessem, Nicholsonem, Johnstonem i Langstaffem.

– A ja z Langstaffem, Fergusonem, Lawrence'em i Ashwayem – mówi nagle Marrow.

Jakby ktoś mnie uderzył kijem w głowę! Nie mogę sobie przypomnieć, teraz już w ogóle. O co tu chodzi? Co tu się dzieje?!

Patrzę na innych. Wyglądają na zdziwionych, zdezorientowanych, szokowanych

– Ja... – zaczyna Lawrence. – Ja za cholerę nie pamiętam, z kim spałem. – Wyciąga dłoń w stronę namiotów, ale w ostatniej chwili palec się nie wysuwa. Zamiera w pięści. – Ja...

W jego oczach dostrzegam strach, nowy wymiar strachu. Odwracam się, szukając wzrokiem, co mogło tak przerazić Lawrence'a. Patrzę w kierunku namiotów i zamieram podobnie jak on.

Są cztery. Cztery namioty!

Rozglądam się po twarzach swoich kompanów. Szukam żartownisia, ale nikogo nie znajduję. Widzę tylko przerażenie. Jak na zawołanie wszyscy zerkamy na twarz pana Ashwaya, naszej opoki.

– To... – mówi zachrypłym głosem. Odchrząkuje. – To nasi. To muszą być oni. Porwali Floyda i...

– Tu jestem, panowie! – Floyd wyłania się zza kamienia. – Potrzebowałem chwili, ekhm... oddechu – mówi, sugestywnie zapinając spodnie. – Słyszałem swoje nazwisko. Co się dzieje?

Patrzę na niego, jakbym zobaczył ducha. Tylko jestem przerażony dużo bardziej niż wtedy, kiedy naprawdę myślałem, że widzę ducha. W trzydziestym siódmym, w szopie, w której powiesił się mój ojciec.

Odwracam się w stronę namiotów i widzę tylko trzy. Patrzę na pana Ashwaya, a on bierze dokładkę.

– Czy... – zaczynam, ale pan Ashway patrzy mi w oczy, przerażony.

Widzę, jak jego źrenice, szerokie jak spodki, świdrują mnie. Po chwili przygasza je szeroki uśmiech.

– Jest zimno, jesteśmy zmęczeni. Nie ma o czym mówić.

Rozglądam się po innych i widzę, że jedni jedzą spokojnie zupę, drudzy potakują w milczeniu.

Coś mi tu nie gra. Nigdy w życiu nie byliśmy tak zmęczeni i zmarznięci.

– Z kim spałeś, Floyd? – drążę.

Może nie powinienem? Może trzeba udawać, że wszystko jest w porządku? Może udawałbym, gdyby nie ten sen?

– Byłem tylko siku, z nikim nie spałem! – Śmieje się.

– Z kim spałeś w namiocie?

– Z panem Ashwayem, Langstaffem, Johnstonem i Fergusonem. Czemu pytasz?

Staram się sobie przypomnieć, z kim spałem, i teraz jakoś rzeczywiście mi to idzie. Adams, Hall, Lawrence i Marrow. Lawrence chrapał strasznie, aż chciałem go udusić. Hall wstał pierwszy, a Marrow pierdział. Adams spał obok mnie.

– Potwierdzenie to? – pytam.

– Tak... – mówi Langstaff. – Tak rzeczywiście było.

Mam ochotę wstać i przepytąć ich, kto z kim spał. Mam ochotę wszystkich przestuchać, zapytać, ile namiotów widzieli, jakie nazwiska wymienialiśmy, ale... Nie wiem. To dziwne. Cokolwiek się dzieje – może tylko ze mnie żartują? I tak mam ochotę stąd odejść.

Tak jak mówiła mi Jane w moich snach.

Może nawet bym odszedł, gdyby nie wizja tej przepaści, którą musiałbym przekroczyć sam.

– Chodźmy, panie Ashway. Zbierajmy się do tego gniazda nazistów – mówię zrezygnowany.

– Dobrze, milordzie! To jest duch, którego potrzebujemy!

– krzyczy pan Ashway. – Na pohybel hitlerowcom, choćby skrywali się na samym końcu świata.

On wiedział, że to sarkazm, prawda? Musiał wiedzieć.

W ciągu dziesięciu minut pakujemy się i wyruszamy. Idziemy w kierunku monolitu, pionowej kreski. Od samego początku wydaje mi się dziwna, bardzo dziwna. Nienaturalnie wysoka albo cienka. Nie zachowuje odpowiednich wymiarów. Coś takiego nie może być...

Z czego to zbudowano?

Patrząc na to i ogarnia mnie niepokój. Jakbym patrzył w przepaść. Nie mogę oderwać od tego wzroku, cały czas wpatruję się w ten tajemniczy punkt na końcu. Właściwie to w kreskę. Widzę ją, wszyscy ją widzimy, ale jest z nią coś nie tak, jakby należała do innego świata.

Nie potrafię tego opisać.

Jest jeszcze coś: im dłużej patrzę w ten punkt, tym bardziej kręci mi się w głowie. Może to od wytężania wzroku tam, gdzie jest śnieg i świeci słońce? Ale coś nie pozwala mi odwrócić głowy, zmusza mnie do patrzenia.

Nie, wydaje mi się. Takie rzeczy nie istnieją. To niemożliwe.

Po kilku godzinach zdaje sobie sprawę, że nikt nic nie mówi. Od kiedy wyszliśmy, towarzyszą nam jedynie cisza i chrzęst śniegu.

Patrzę w niebo. Jest błękitne i spokojne. Słońce zawieszone na jego szczycie milczy. Wszyscy jesteśmy tylko cieniami, zabawkami pana Ashwaya w drodze ku jego celowi, ku naziściom, demonom czy diabłom, ku chwale królowej i królestwa. Ku szaleństwu.

Skąd we mnie takie sceptyczne myśli? Pan Ashway jest dla nas dobry, opiekuje się nami i inspiruje nas. Tylko on może doprowadzić do końca tę misję i tylko on może nas z niej zabrać z powrotem do domu. Do domu, do Anglii. A potem na Zanzibar czy gdzieś tam.

– Nie zbliża się – odzywa się nagle Floyd. – W ogóle się nie zbliża.

Ten dźwięk wyrывa mnie z letargu. Jakbym się obudził. Rozglądam się, szukam wzrokiem Floyda, ale wszystko jest rozmazane. Nie, nie rozmazane. Po prostu widzę ich, ale nie odróżniam, nie rozumiem, na co patrzę. Ciemne plamy na białym tle, choć przecież znam tych ludzi. Walczę, skupiam się. Udaje mi się. Znajduję go, uśmiecham się, bo rozpoznaję i spoglądam na obserwowany przez niego punkt.

– To niemożliwe – mówię. – Musi się zbliżyć.

Ale kiedy na nią patrzę, nie dostrzegam tego. Iglica w ogóle się nie zmienia. Nadal jest cieniutką, pionową kreską.

Zaraz! Pan Ashway powiedział, że to monolit.

– Panie Ashway? – Podchodzę do niego.

– Tak, milordzie?

– Skąd pan wie, że to monolit?

– Cóż innego miałoby to być?

W sumie ma rację. Co innego, jeśli nie monolit?

To może być antena albo... To może być wiele rzeczy. Ale monolit? Monolit to dość precyzyjne określenie. Jest wiele rzeczy, których spodziewałbym się bardziej i prędeżej.

Coś mi tu cały czas nie gra. Dowiem się, co.

Może to ja? Może to moje paranoje? Może to ten sen namieszał mi w głowie. Paskudna śmierć Maileya i to jego: „Nie jestem bohaterem. Cały czas się bałem”. I wyciągnięta ku mnie ręka Penningtona. I te szeroko otwarte oczy.

Może to tylko ja? Może to tylko złość i żal, tęsknota i zimno mącą mi w głowie.

Nie powinienem wychylać się z moimi paranojami, żeby nie wyjść na szaleńca. Dojdziemy do monolitu. Znajdziemy nazistów (albo i nie), bramę do Atlantydy, cokolwiek. Pan Ashway spisze raport i wrócimy do Anglii. Odpoczne przy Jane, odbiorę pensję i wyjedziemy do ciepłych krain, gdzie będę wypasał bydło albo sadził marchew czy inne cholerstwo.

– Panie Ashway? – zagajam.

Lawrence patrzy na mnie zdziwiony.

Cholera, przestałem ich odróżniać! Przestałem ich odróżniać! Przestałem odróżniać ludzi!

Uspokój swój oddech, uspokój myśli, idź przed siebie.

Mija kolejne parę godzin. Tak mi się przynajmniej wydaje. Mam wrażenie, jakbym cały czas spał, polarny dzień nie daje możliwości identyfikacji dnia, a zegar... Zegarowi już nie wierzę. Nie wiem, jak wielki może być ten płaskowyż, choć znając Antarktydę, to pewnie i wielkości Anglii. Tu może być wszystko.

Tu może być raj. Albo piekło. Bo dlaczego nie?

Przechodzą mnie ciarki, i to nie z zimna.

– Czego się boisz? – pyta mnie pan Ashway.

Patrzę na niego znad zegarka.

– Poza śmiercią i zimnem? – Uśmiecham się.

On też się uśmiecha. Traktuje to jako żart, klepie mnie lekko po plecach. Śmieje się i odchodzi.

– Panie Ashway? – pytam, ale nie odpowiada. Chyba mnie nie słyszy.

Idziemy dalej, przed siebie, ku iglicy, monolitowi, antenie, kresce na rzeczywistości, czemukolwiek, co maluje się na horyzoncie.

Mam wrażenie, że idziemy i nie idziemy. Mam wrażenie, że chodzimy w kółko, a ktoś tylko przekręca nam otoczenie.

Tęsknię za nocą. Wtedy przynajmniej wiedziałem, że jest późno. Teraz nie wiem już nic. Wiem tylko, że słońce wisi nade mną, a iglica przede mną. Wiem, że płaskowyż może być większy niż wszystko inne, co widziałem na świecie.

Większe niż świat!

Nie, tak wielkie być nie może, przecież jesteśmy na świecie! Niemożliwe, żeby było większe niż świat.

Boję się szaleństwa w tych górach. Mam wrażenie, że ono tutaj mieszka. W tym zamrażniętym piekle boję się wszystkiego.

W końcu stajemy na odpoczynek.

– Jak długo idziemy? – pytam towarzyszy.

Jestem zmęczony, wszystko zaciera się przed oczami. Czy w ogóle są wszyscy? Nikogo nie brakuje?

Może zapytam pana Ashwaya? Nie, wyjdę na głupca, powie przecież, że bym sam sobie policzył. Co za bezsens!

Po kilku godzinach odpoczynku, zjedzeniu zupy i ciężkim śnie idziemy dalej.

Kierunek: iglica, monolit pana Ashwaya, choć sam chętnie nazywałbym to mirażem czy zwiastunem śmierci.

Pan Ashway tym razem nic nie mówi o tym, że dziś dojdziemy do iglicy. Niebo dalej jest bezchmurne, dalej słoneczne, a humory są wisielcze. A może tylko mój?

Podczas postoju miałem wrażenie, że panowie rozmawiali, a jedynie ja milczałem. Może nie słyszę ich głosów? Może zapadam w jakiś letarg? Może to tylko ja jestem malkontentem, a pozostali dobrze się bawią, idąc ku iglicy? Może tylko ja przestałem ufać wskazówkom zegarka?

– Panie Ashway? – pytam.

– Tak, milordzie? – odpowiada z uśmiechem.

– A co, jeśli tam będą naziści? Jeśli będą chcieli nas zabić? Przecież nie damy rady się bronić czy ich pokonać.

Śmieje się.

– Wtedy odejdziemy i zbierzemy większą grupę. Nie muszą być tam naziści. Na pewno coś tam jest, zresztą, jak widzisz, ten monolit wygląda tajemniczo.

– Tak, tak – odpowiadam. – Dla mnie to w sumie wygląda na antenę radiową.

Zasepia się, po czym znowu się śmieje.

– Rzeczywiście! – wykrzykuje. – Wygląda jak antena radiowa! Oczywiście, że tak!

Podejrzane. On wie, że to monolit.

Wie o tym, prawda?

– Co tam może być?

– Według Himmlera wejście do Atlantydy. Może Atlantyda jest legendarnym państwem Izrael? Jesteśmy badaczami i właśnie badamy.

Nie, ja jestem polarnikiem.

– Izrael? – Szukam w głowie. – Chodzi o niebo?

– Dlaczego nie? – pyta pan Ashway. – Przecież po prostu nie wiemy, co tam jest. Czy to monolit do raju, czy może antena hitlerowskiej bazy, warto sprawdzić, prawda?

Monolit do raju?

– Prawda, panie Ashway – zasepiam się.

– To zaszczyt iść z kimś takim jak ty, milordzie. Przy was czuję, że wszystko może się udać. Wszystko na świecie! – Śmieje się, odchodząc.

Monolit do raju? Gdzie on poszedł?

Rozglądam się. Wokół mnie suną jakieś postacie. Czy to moi kompani? Nie jestem w stanie stwierdzić.

Jedyne, co jestem w stanie stwierdzić, to to, że towarzyszy mi milczenie i chrzęst śniegu.

Mam wrażenie, że im bliżej tego diabelstwa jesteśmy, tym bardziej staję się niespokojny. Bóg jeden wie, ile zajmie nam droga – dzień, tydzień czy może miesiąc.

Czy ta iglica będzie końcem mojego życia?

Końcem nas wszystkich?

Bez przesady! Skąd we mnie takie myśli? To do mnie zupełnie niepodobne. Wiem, że wrócę do Jane i popłyniemy razem do ZPA albo Nowej Zelandii. Może nawet polecimy samolotem? Kto wie? Może zostaniemy odnaczeni i dostaniemy premię, dzięki której polecimy samolotem do odległych krain bez śniegu?

Kocham cię, Jane. Tęsknię za tobą. Wrócę do ciebie. Obiecuję.

Choć nie odwiedzasz mnie już w snach. Czy nadal mnie kochasz? Może mary zsyłane aż z Anglii już tu nie sięgają?

To w ogóle możliwe? Nie jestem już pewien, co jest możliwe, a co nie.

Zdaję sobie sprawę, że choć iglica się nie powiększa, to krawędź płaskowyżu się oddala. A właściwie oddalała, bo teraz trudno mi już powiedzieć, jak daleko jesteśmy.

Prawdopodobnie przeszliśmy wczoraj jakieś dziesięć, może piętnaście mil, dzisiaj pewnie też. Nie wiem, czy fakt, że odsuwamy się od krawędzi, jest optymistyczny, czy pesymistyczny. Skoro idziemy w jakimś kierunku, to się przesuwamy.

Ten brak ciemności doprowadza mnie do szału. Straciłem orientację w czasie, na dodatek lodowy płaskowyż utrudnia mi orientację w terenie. Im dalej idę, tym bardziej nienaturalne wydaje mi się całe to miejsce.

Chyba nie tylko mi. Zauważyłem, że podczas zamieci więcej rozmawialiśmy. Nie ma tutaj żadnych charakterystycznych skał, żadnych wyraźnych odkształceń terenu – tylko iglica wznosząca się ku niebu.

– Iglica się nie zbliża – mówi Marrow.

– Wiem. Floyd mówił o tym rano – odpowiadam.

– Floyd nie żyje od dwóch tygodni – mówi pan Ashway. – Zginął bohaterską śmiercią.

Rozglądam się. Jest nas szóstka.

– Co się stało? – pytam.

Nikt nie odpowiada.

Rozglądam się. Cała piętnastka idzie przede mną. W milczeniu.

Widzę, że iglica się powiększa. Jesteśmy już niedaleko.

Zaraz...

Piętnastka? Przecież ja jestem piętnasty!

Patrzę nerwowo na zegarek. Właśnie zdałem sobie sprawę, że wskazówki się zatrzymały. Od jak dawna?

– Zegarek mi stanął. – Mój głos brzmi obco, jakby w ogóle nie był mój. – Dziwne. Nie wiem, która godzina.

– Ja też nie wiem – odpowiada pan Ashway. – Mój stanął wczoraj. Chyba wczoraj.

Wczoraj?

– Wczoraj? – pytam.

– Tak, wczoraj, kiedy zmarł Floyd.

– Wczoraj zmarł Mailey.

– Mailey zmarł w zeszłym miesiącu – odpowiada pan Ashway.

Patrzę na Ashwaya. Jest wychudzony. Ma spierzchnięte i popękane usta. Nie ma jednej dłoni.

Odwracam się. Za mną suną Lawrence i Marrow.

– Wszyscy nie żyją? – pytam.

– Nie pamiętasz już? – mówi pan Ashway. – Umarli, oni wszyscy umarli. – Stoimy nad krawędzią płaskowyżu. – Musimy wracać do obozu.

Nic nie pamiętam!

– Znaleźliśmy nazistów, panie Ashway?

– Nazistów? – pyta Lawrence. – O tak! Naziści, wszędzie naziści!

– Uwolnijcie mnie! – krzyczy Marrow. – Uwolnijcie od tych diabłów! Widzę swoje ciało! Jestem na płaskowyżu, ale moja dusza została w tym piekle! Uwolnijcie mnie!

– Co mu się stało? – pytam. Dziwne, w ogóle nie jest mi zimno.

– Chyba został po drugiej stronie – mówi pan Ashway.

– Po drugiej stronie czego, panie Ashway?

– Po prostu po drugiej stronie.

Co tu się stało?

– Dlaczego nie jest zimno? – pytam.

– Jest – odpowiada Lawrence.

Patrzę na swoje dłonie. Mam rękawice. Grube, skórzane. Zdecydowanie nie są moje. Skąd je mam?

– Wróćcie po mnie! Błagam! – krzyczy Marrow. – Błagam! Wróćcie! Proszę! One mnie tu piekają żywcem! Błagam! Proszę! Nieee!

– Nie możemy, Marrow – odpowiada pan Ashway. – Nie uda nam się uciec po raz drugi.

– Błagam, chociaż mnie zabijcie! Pieką mnie żywcem, a ja nie mogę uciec! Błagam! Uwolnijcie mnie! Zróbcie coś!

– Nie możemy – odpowiada Lawrence.

– Dlaczego nie możemy? – pytam.

Marrow bierze koniec liny do ręki. Ściska ją mocno, po czym puszcza i skacze w przepaść. Widzę, jak znika w burzy śnieżnej. Nie słyszę dźwięku upadającego ciała.

– Może to i lepiej – mówi pan Ashway.

– Na pewno lepiej dla nas. Nie będzie już krzyczeć.

– Requiem aeternam dona ei, Domine, et lux perpetua luceat ei in saecula saeculorum. Requiescat in pace, amen – mówi Ashway.

– Trochę mu zazdroszczę – mówi Lawrence. – Też wolalbym... Nie, nie wiem, czy bym wolął. Nie wiem, czy bym wolął, bo po co?

– No, chłopaki, wystarczy już tej śmierci. To był błąd, ogromny błąd. Ale uciekliśmy. Uratowaliśmy się. Przeżyjemy. Jeszcze tylko parę dni do bazy, a potem jakoś wrócimy.

– Ciekawe, czy moja Jane na mnie czeka.

– Jemu zazdroścę najbardziej – mówi Lawrence do pana Ashwaya. – Nie marznie, nic nie pamięta.

– On swoje wycierpiał – odrzekł pan Ashway. – Zobacz, nie jest już sobą. Panie Ashway? Panie Ashway?! Widzisz? Nawet nie reaguje. Nie wiadomo wręcz, kim on teraz jest.

Odwracam się.

Przedemną maluje się płaskowyz, widzę płonące dzieci wspinające się po kamieniach. Dziwne, pokryte zrostami demoniczne postaci dzierżące płonące bicze. W oddali słyszę krzyki, wiją się dusze przyczepione do rozżarzonych głazów, krzyczące z bólu. Jakby płyną w powietrzu, przelewają się dziwne postacie z popiołów, zakłute w cierpieniu. Plugawi potępieńcy. Morza lawy i cierpienia. Oceany ognia i agonii.

Odwracam się.

– Dlaczego tak do mnie mówisz?

– Jak ja mu zazdroścę! – mówi pan Ashway. – Chodźcie, idziemy. Jeszcze parę dni i wrócimy do bazy. Mam nadzieję, że nie zgubił pan dokumentów, panie Ashway.

– Proszę, nie mów tak do mnie. Nie mów do mnie „panie Ashway”. Pan Ashway milknie. Patrzy mi w oczy. Jest smutny, bez życia.

– A jak mam mówić?

– Mów do mnie... – Waham się.

No właśnie, jak się nazywam?

Kucam, padam na kolana, łapię się za głowę.

Jak ja się nazywam, do cholery?!

– Ma... Marrow – mówię. – Nazywam się Marrow.

– Kompletnie mu odwaliło. – Słyszę grobowy głos pana Ashwaya.

– A nam nie? – pyta Lawrence. – Komu nie odwaliło?

Mam wrażenie, że chmury zostają w dole, pod płaskowyzem.

Kiedy patrzyłem w dół, będąc jeszcze na szczycie, widziałem tylko śnieg. Kiedy zaczęliśmy schodzić, pogoda zaczynała się psuć, a ja, paradoksalnie, czułem się coraz lepiej.

Wreszcie nie widziałem słońca. Jakże to było cudowne uczucie!

– Wreszcie ciemność, jakakolwiek – stwierdzam.

– W monolocie było ciemno – mówi Lawrence.

Nagle widzę mrok i słupy ognia wznoszące się ku czarnemu niebu. Płonące jeziora wyjące krzykiem miliardów katowanych dusz. Gigantyczne obeliski poznaczone bluźnierczymi runami, wyrastające z bielących się od żaru oceanów. Wielkie, pozrastane ze sobą, potworne bestie, które na nas polują, traktują jak zwierzyne.

Ogniste istoty zrodzone z pustki, wałęsające się po piekle, karmiące bólem i cierpieniem.

Ich oczy to oczy śmierci. Hipnotyzujące, drążące i pogrążające, karmiące i karcące. Kuszące, przyciągające i zwiastujące śmierć.

– Nie – mówię. – Nie pamiętam. Pamiętam tylko, że nie mogliśmy tam dojść, że szliśmy w nieskończoność.

– Zazdrość mu – mówi pan Ashway. – Zazdrość temu cholernemu gnojowi.

– Ja nie wiem, czy mu zazdrość – rzuca Lawrence.

– Cholera wie, co on ma w tej głowie. – Patrzy mi w oczy. Nie mogę znieść jego wzroku, więc spoglądam w ognisko. – Szliśmy tam trzy tygodnie. Prowadziłeś nas, pierwszy zaczął szaleć Johnston, ale wszyscy byli w złej kondycji. Byliśmy zmęczeni, zziębnięci, ale przede wszystkim monolit...

– Skończyło się jedzenie – wtrąca pan Ashway. – Najpierw zjedliśmy Johnstona.

Demoniczna postać stoi nad garem, w którym bulgocze żywy ogień. Jej oczy są jak żarzące się węgle. Wydaje z siebie przeciągły, jednostajny ryk. Miesza w kotle jedną ręką, drugą trzyma Langstaffa. Ten krzyczy, wyrывa się. Czerwonoskóry wielkolud jest wielkości kamienicy, może zmiażdżyć

biednego Langstaffa dwoma palcami, ale nie robi tego. Po prostu piecze go żywcem.

Langstaff błaga, żeby go zabić, ale nie mamy czym.

Jesteśmy następni.

– Nie pamiętam. Nie pamiętam tego.

– Potem zjedliśmy Fergusona – mówi Lawrence. – Zmarł z przyczyn naturalnych.

– Tłukł głową o lód, aż pękła mu czaszka – dodaje pan Ashway.

Jego kikut krwawi. Nie sposób tego nie zauważyć. Krew powinna zakrzepnąć, ale nie krzepnie. Brudne bandaże nie tamują krwi. On umiera.

Przynajmniej tak mi się wydaje. Wydaje mi się, że umiera. Wydaje mi się, że powinien umrzeć już dawno.

Ale cóż... to pan Ashway. On cuda robi ot tak.

– Pamiętasz monolit? – pyta pan Ashway. – Pamiętasz chociaż to?

– Nie – odpowiada za mnie Lawrence.

Wysoka iglica ciągnie się aż po sam sufit rzeczywistości. Ktoś lub... może coś wycięło na niej regularne rowki, z wyżłobionymi w nich znakami, szyframi, literami w jakimś nieznany języku. Wypełniona płynnym słońcem.

Nie wiem, z czego została zrobiona. Kamienia? Stali? Drewna? Połykiwała jak polerowany kamień, ale jej struktura wyglądała na wykonaną z drewna. W dotyku była zimna jak stal, może nawet jeszcze zimniejsza.

– Wreszcie jesteśmy! – krzyczy pan Ashway. – Wiem, że wiele nas to kosztowało. Wielu braci straciliśmy po drodze! Przebyliśmy długą drogę, ale jestem z nas dumny. Z siebie i każdego z was. Anglia jest z was dumna! Będą o was pisać! Postawią wam pomniki w ojczyźnie!

Pomniki dostaje się pośmiertnie. Wołałbym Jane, ale wiem już, że nigdy nie wróce.

Ashway dotyka iglicy, nagły błysk nas oślepia.

To dlatego nie ma dłoni.

Potem zapada mrok. Zewsząd dobiegają krzyki bólu i cierpienia. Płomień rozświetla ciemność. Na widnokręgu malują się wulkany plujące rzekami ognia. Po równinach cierpień stąpają tytany. Sięgają głowami chmur, a okrucieństwem – niebios.

Czuję głód. Nie tylko fizyczny, wywołany niedożywieniem, zagłuszany mięsem towarzyszy. Czuję głód świata, w którym się znaleźliśmy.

Moimi żyłami płynie potworny lęk i strach. Nie jest warty pieniędzy, które nam obiecano. Powrót przez lodową pustynię to naprawdę mały problem w obliczu rozpalającego się przed nami zła.

Śmierć zwietrzyła mój trop. Widzę żywe pomniki z popiołów, patrzące na mnie niemo martwymi oczami. Dziwne postaci za oknami nieskończoności, biblijnego chaosu i płonących deszczy.

I ten rozrywający duszę krzyk, zrodzony z krzyku tysięcy rozerwanych dusz.

– Nic nie pamiętam – mówię. – Nie pamiętam tego.

Wstaję i idę. Lawrence i pan Ashway idą za mną. Idziemy i idziemy. Towarzyszą nam tylko milczenie i chrzęst śniegu.

– Lawrence? – Słyszę głos. – Lawrence, to naprawdę ty?

Otwieram oczy i widzę Davidsona.

– Lawrence – mówię. – Lawrence! – krzyczę. – Wołają cię!

– Lawrence! – Davidson podchodzi do mnie. – Lawrence, co się stało? Dlaczego tak długo? Gdzie reszta?

Dziwne, przecież ja nie jestem Lawrence. Ja...

Ja jestem...

Lawrence?

– Nie żyją – sapię. – Oni wszyscy nie żyją.

– Chodź – mówi. – Chodź do bazy. Wszystko nam opowiesz.

Łapie mnie za kikut ręki.